

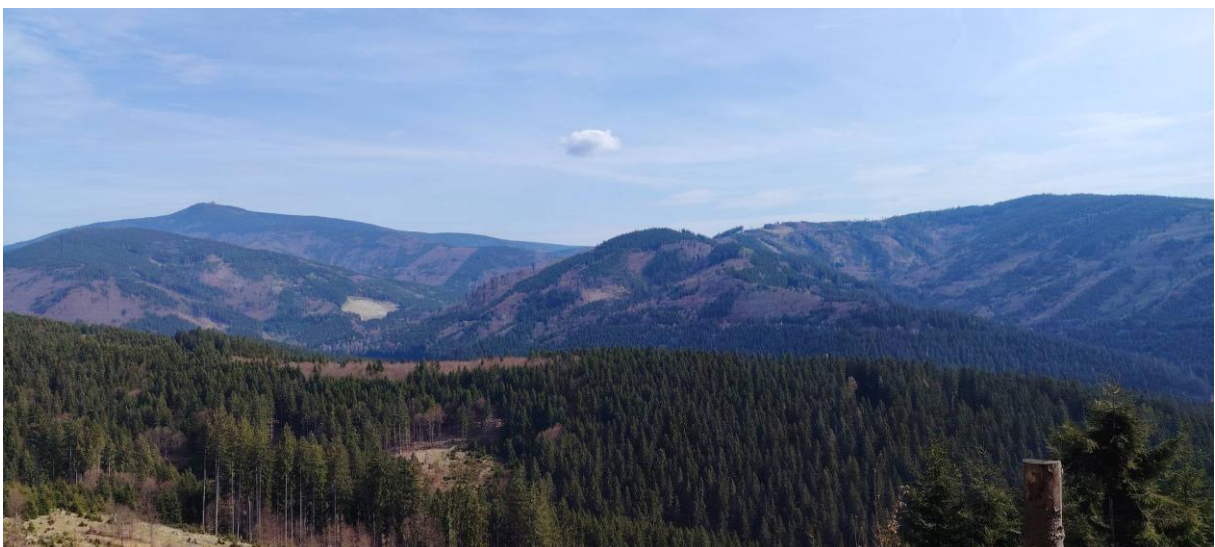
## Smrk czyli koniec projektu

To już ostatni wyjazd w ramach zdobywania Wielkiej Korony Beskidów PTT. Ostatni nie oznacza bynajmniej, że wszystko zostało osiągnięte. Nadal do zdobycia zostały szczyty na Ukrainie. Te jednak z przyczyn oczywistych są chwilowo – oby – niedostępne. Skoncentrowaliśmy się zatem na zdobywaniu szczytów w Czechach i na Słowacji. Trochę to trwało, ale dotarliśmy do mety tego etapu.

A w zasadzie dotrzemy w ciągu dnia, bo na razie trzeba dojechać. Jak zwykle jest to kawał drogi, bo aż za Frydlant nad Ostrawicą, a i przeszkoda trafiła się po drodze niebagatelna. Tą przeszkodą okazała się czeska policja, która na granicy urządziła sobie łowy na busy i autobusy z Polski. Dla nas skończyło się to 40-minutowym postojem, a dla kierowcy mandatem za brak jakiegoś kwitka. Cóż, bywa. Mimo przeszkód docieramy jednak do Velkego potoka, skąd wyruszamy na trasę.



Pogoda jak widać jest nadzwyczajna, choć wiemy, że front zbliża się od zachodu i kto będzie szedł zbyt wolno, tego ogarnie. 😊



Na razie jednak jest super. Widać wszystko w okolicy z Łysą horą na czele. To ta po lewej. My pniemy się w górę zboczem Malego Smrka. Na południowych zboczach trochę widać już wiosnę, choć nie przesadnie.



Ale im wyżej, tym tej wiosny mniej, a śniegu więcej. Na razie nie stanowi on przeszkody... na razie! Jest bardziej atrakcją niż uciążliwością.



Tak jest przynajmniej do sedła pod Smrkiem. Potem ścieżka aż na szczyt jest oblodzona, ale to dalej nie problem... na razie, bo wkoło starodrzewów świerkowy i zwyczajnie można iść bokiem. No to idziemy i całkiem niedługo docieramy na szczyt.



Na szczycie ruch – jak zwykle – generują głównie Polacy. A konkretnie grupa z PTTK Zabrze o swojsko brzmiącej nazwie – Wędrowiec. 😊



Trochę na szczycie posiedzieliśmy, czekając na naszą ariergardę, ale zgodnie z prognozami zaczęło się chmurzyć, a przed nami jeszcze kawał drogi. Zabrzanie zaczęli schodzić sporą chwilę przed nami, ale nie aż tyle, abyśmy ich nie dogonili. Jednak bynajmniej nie dlatego, że narzuciliśmy jakieś mordercze tempo. Po prostu na wiosnę stok południowy i stok północny tej samej góry są to dwa zupełnie różne stoki. Tu ścieżka była stroma, wąska i często wyludzona na całej swojej szerokości. A taka sytuacja pokazuje jak bardzo nie sprawdza się model maszerowania w zwartej grupie. Wystarczyło, że lód wyhamował jedną osobę z przodu i stoją wszyscy, bo po pierwsze jak idziemy razem to razem, a po drugie i tak nie bardzo jest jak ją wyprzedzić.



Nas była jednak tylko czwórka, więc po kilku karkołomnych manewrach udało nam się znaleźć przed grupą.



I to dokładnie w takim miejscu, gdzie ścieżynka przeszła w stokówkę i nie byłoby problemu z wyprzedzaniem 😞. No, ale skąd mogliśmy wiedzieć? Teraz serią długiach zakosów zeszliliśmy w okolice wsi Ostravice, gdzie był już asfalt prowadzący aż do busa. Ale, nie tak szybko, bo w końcu trzeba

coś zjeść. Trafiliśmy do czegoś o nazwie Hospůdka Sauna. Trochę bardziej z przymusu niż z wyboru, bo alternatywą była pizzeria, a kto jadł pizzę w Czechach... tu skończę, ale domyślcie się w którą stronę miał iść komentarz. Ja postanowiłem poeksperymentować i zamówiłem – prócz piwa oczywiście - Hermelín

v bramboráku + obloha. Dla tych którzy nie wiedzą czym jest hermelin, już to z powodu innych zainteresowań, już to z ogólnej ignorancji, jest to ichniejszy miękki ser podpuszczkowy; taki odpowiednik camemberta. Dość oryginalna jest jego forma podania w tym lokalu, bo jest on zapiekany w placku ziemniaczanym. Nawet nie byłoby to złe, gdyby kucharzowi do miski z utartymi ziemniakami nie wpadło wiaderko z kminkiem. Ten placek był koszmarnie ziołowy. Może nawet nie był on zły, ale totalnie spoza moich klimatów. Najbardziej jednak rozbroiła mnie wspomniana wyżej obloha. Tłumacz google nie za bardzo radzi sobie z tym słowem, ale



powiedzmy, że jest to garnirunek. I to chyba właściwe tłumaczenie, bo ten plasterek ogórka, papryczki i starte pół listka kapusty, to nic więcej jak ozdoba dania. Powiem wam, że dla mnie jest niepojęte, że mimo upływu prawie 40 lat od końca komuny, ani Czesi, ani Słowacy nie odkryli jeszcze czegoś takiego jak surówka do obiadu. Tak więc danie zaliczam do kategorii – ledwo jadalne. Ale jak się okazało pod koniec obiadu, wcale nie miałem jeszcze tak źle. Ja przynajmniej dostałem obiad! Marcin, który zamówił coś bliźniaczego, tylko, że z kurczakiem, po długim oczekiwaniu dowiedział się, że jego danie jest już wydane, a że nie

jemu... Aż z kuchni wyszedł bardzo postawny vařit i przekonał go, że dalsze awanturowanie się, nie przyniesie nic dobrego. Na pocieszenie dostał flaszeczkę jakiegoś miejscowego wynalazku i musiał do Krakowa wrócić głodny. Zresztą wszyscy dowiedzieliśmy się tam, że z Polakami to tylko kłopot, niecierpliwia się, hałasują, ogólnie nie umieją się zachować.

Gdybyście kiedyś trafili do Ostravic... zjedzcie jednak lepiej pizzę 😊😊😊

My końcówki dań jedliśmy już na tempa, bo zaczęło kropić. Dobrze, że reszta grupy pokazała się w końcu na horyzoncie, więc wspólnie doszliśmy do busa i po zapakowaniu wróciliśmy już bez przygód do Miasta.